



Ewa Tomaszewska

część I z III

Sygnatura notacji: **N0560**

Data urodzenia: **14.04.1947 r.**

Data nagrania: **13.02.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 50 min, część II: 55 min, część III: 53 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ewa Tomaszewska: Nazywam się Ewa Tomaszewska. Urodziłam się 14 kwietnia 1947 roku w Płocku. Moimi rodzicami byli Stanisław Tomaszewski i Janina, z domu Borkowska. Moi rodzice byli księgowymi i pracowali zawsze w tym zawodzie. Z dzieciństwa taki szczególny moment, który mi się utrwalił z okresu przedszkolnego. Jeszcze to było... Wtedy jeszcze nie było radiodiodników w domach, ale były głośniki, przez które nadawane były audycje radiowe. I jeden właśnie taki głośnik wisiał nad moim łóżkiem. Wtedy czytano „Medaliony” Nałkowskiej. Dla czteroletniego czy pięcioletniego dziecka słyszeć o tym, jak się ludzi przerabia na mydło, to może być coś wstrząsającego. Pamiętam to do tej pory, bo po prostu był ten utwór czytany w odcinkach. Dość często wówczas wyłączono prąd. I właśnie też pamiętam momenty, o których tu zresztą mówiłam w „Biuletynie IPN” wcześniej, kiedy nie było w mieszkaniu światła. Mama robiła na drutach, bo umiała robić, bez oświetlenia, nie korzystając ze wzroku. A ojciec wtedy mnie i brata o trzy lata młodszego brał na kolana i śpiewał nam piosenki patriotyczne, harcerskie, różne. W każdym razie to było jakoś w taki sposób... wykorzystywany był ten czas, kiedy nie można było właściwie nic zrobić. No, były świece. Mieszkaliśmy w Płocku do 1954 roku. Rodzice w listopadzie, a my w grudniu przenieśliśmy się do Warszawy, w 1954 roku. Ja już byłam wtedy w pierwszej klasie. Brat jeszcze w wieku przedszkolnym. Z okresu płockiego pamiętam przede wszystkim szkołę, która była tuż, tuż za kościołem Mariawitów, na skarpie wiślanej, gdzie w czasie przerw wybiegaliśmy po prostu na plac. Na wzgórzach, na tym wysokim brzegu Wisły, gdzie można było bawić się i oglądać krajobraz Wisły płynącej pod Płockiem. I atmosferę szkoły, która była taką atmosferą przyjazną bardzo, bardzo taką serdeczną, co oczywiście wynikało z zachowania nauczycieli i nauczycielki, która nas... tą klasą się opiekowała. Do Warszawy przyjechaliśmy właśnie w grudniu. Pamiętam z warszawskiego już okresu bardzo, bardzo mocno, tak mi się wryły w pamięć wydarzenia z 1956 roku.

Nie tylko to, co się działo w Polsce, ale przede wszystkim to, co się działo na Węgrzech, ponieważ wówczas ojciec wystawał w kolejce, żeby oddać krew dla Węgrów. A mama? Trudno powiedzieć z moją pomocą, ale z jakimś moim udziałem pakowała rzeczy, jakieś ubranka dla dzieci węgierskich, żeby przekazać je do wysyłki na Węgry. I to było takie wstrząsające wydarzenie właśnie z tamtego okresu. W mojej rodzinie były bardzo istotne tradycje harcerskie. Ojciec organizował harcerstwo w czasie wojny w Płocku i później. Wiem, że w Małachowiance organizował drużynę harcerską. Jego działalność była dostrzeżona na tyle, że jest wielokrotnie wspomniany w książce, którą Chorągiew Mazowiecka, Chorągiew Płocka wydała z okazji swojego jubileuszu. I tak się zdarzyło, że ja trafiłam do szkoły, w której były cztery drużyny harcerskie, a osobą, która w imieniu, w imieniu władz szkoły opiekowała się harcerstwem była pani Anna Zawadzka, siostra „Zośki”, Tadeusza Zawadzkiego, którego znamy z działalności w czasie wojny i późniejszej książki Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec”. Aleksander Kamiński pracował wtedy w Głównej Kwaterze Harcerstwa Polskiego. Moja mama też była pracownikiem Głównej Kwatery, wcześniej w Chorągwi Mazowieckiej, później w Głównej Kwaterze, więc ta taka łączność z różnymi ważnymi wydarzeniami w harcerstwie była dla mnie ważna. Właśnie kiedy pani Anna Zawadzka odeszła do Wyższej Szkoły Języków Obcych, to niestety z czterech drużyn zrobiła się jedna i to dość marna. Także po prostu to harcerstwo wtedy upadło. Uczyła nas angielskiego naprawdę tak dobrze, że ja sobie potem radziłam jako tako w Parlamencie Europejskim, z tą znajomością języka, niewiele poszerzoną na uczelni, ponieważ po prostu na Wydziale Fizyki Elektoraty dotyczyły przede wszystkim języka używanego w danym przedmiocie, czyli w zakresie fizyki, matematyki to słownictwo było potrzebne i w tym kierunku raczej odbywała się nasza edukacja. Ogólna nauka języka to był właśnie tamten okres od piątej klasy do końca liceum. Właśnie angielskiego uczyła nas pani Zawadzka, tzn. wymagała od nas, żeby jeśli się przebywa w innym pomieszczeniu, dalszym, żeby było słychać, że to jest język angielski. Nawet jak się nie do końca rozumie treść wypowiedzi, żeby było słychać, że to jest właśnie po angielsku. Także tak wyglądały niektóre przeżycia z tamtego okresu właśnie związane z harcerstwem i szkołą. Fizyki uczyła mnie pani Dobrowolska, jak się potem okazało, ciotka jednej z moich koleżanek z Solidarności, z sekcji Oświaty, z doktoratem przedwojennym. I to, co uważam za szczególnie ważne, to fakt, że zwracała wielką uwagę na to, żebyśmy wykonywali samodzielnie ćwiczenia. Żeby po prostu umieć, żeby mieć w sobie taką potrzebę eksperymentowania i sprawdzania tego, co się samemu zbada, zmierzy, zauważy. Żeby to nie była nauka tzw. „paznokciową”, czyli odtąd-dotąd w podręczniku, ale samodzielne spostrzeżenia. I myślę, że to było szczególnie ważne. Po skończeniu szkoły średniej imienia Królowej Jadwigi, To jest szkoła, która jest następstwem pensji panny Sikorski, w której uczyła się Skłodowska-Curie, także Ma swoje tradycje. No tak, to było istotne. W każdym razie ja się zdecydowałam właśnie na studia na fizyce i w 1965 roku zostałam przyjęta na wydział Matematyczno-Fizyczny Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1968 brałam udział w strajkach studenckich, ale wtedy już byłam na studiach wieczorowych. W grudniu 1967 roku rozpoczęłam pracę w Przedsiębiorstwie Budowy Gazowni i przeniosłam się na studia wieczorowe. Także 8 marca mnie ominął na uczelni, ale 9 marca akurat wracałam z pracy przez Plac Konstytucji, którym płynęła po prostu rzeka studentów z Politechniki Warszawskiej w kierunku Uniwersytetu. I oczywiście włączyłam się w ten pochód. Pod Składnicą Harcerską na Marszałkowskiej stały autobusy z Gołędzinowa, z napisem „wycieczka” i panowie przywiezieni w tych autobusach ruszyli do ataku. I tam się odbyło pałowanie właśnie studentów, którzy próbowali zaprotestować przeciw temu, w jaki sposób potraktowano ich kolegów na Uniwersytecie Warszawskim 8 marca. Także w ten sposób zaczął ten strajk studencki, w którym też brałam udział. 11 marca to był taki dzień, kiedy były chyba najbardziej aktywne polewaczki ZOMO i wszystko to,

co się działo na Krakowskim Przedmieściu wówczas. Gazów łzawiący używano, tyle że później nigdy takiej ilości tego gazu nie dostrzegłam. Byłam po tej stronie, gdzie Uniwersytet, po stronie parzystych numerów, a nie po stronie kościoła, bo wiem, że tam koledzy się próbowali ukryć w kościele przed atakami ZOMO, ale w tych wydarzeniach nie uczestniczyłam. Natomiast z Krakowskiego Przedmieścia uciekaliśmy po dachach, zeskakiwaliśmy na Obożną, przepraszam. Uciekaliśmy przez Zakład pana Pomianowskiego, który umożliwił nam przejście. To był zakład cukierniczy, bardzo znany wówczas. I mogliśmy przejść w taki sposób, żeby zeskoczyć na dachy niższych budynków, czy jakichś warsztatów, żeby się wydostać na Obożną i móc zejść w dół ulicą, żeby uniknąć starcia z Zomowcami. W taki sposób się wówczas nam udało z tego kotła wydostać. Udział w wydarzeniach marcowych brało tysiące ludzi w całej Polsce. I na uczelniach, i młodzież szkolna się włączała, i robotnicy na Politechnice, i na Uniwersytecie. Dostawaliśmy pomoc żywnościową od rzemieślników warszawskich. Pamiętam, jak podjechał taki, Żuk czy Nyska, teraz nie wiem, samochód dostawczy z bułkami pod bramą Uniwersytetu i milicja chciała zmusić kierowcę, żeby odjechał, a on twierdził, że mu koła boksują i nie może ruszyć. A drzwi samochodu od strony bramy były otwarte i tamtędy podawano bułki. W podobny sposób przyjeżdżało na strajk okupacyjny na Politechnikę wiele produktów żywnościowych i wielu warszawiaków gromadziło się pod uczelniami, okazując swoje wsparcie dla tego protestu studenckiego. Część moich kolegów wyemigrowała, potem część została wyrzucona z uczelni i skierowana do wojska na takie przeszkolenie, mało przyjemne. Po prostu był to dalszy ciąg jakichś represji wobec nich. Odbywało się to tak, że na przykład jeden z naszych studentów, Julek Bieler, miał zaświadczenie od władz uczelni, od pracowników Wydziału Fizyki, że w tym czasie pisał egzamin. Mimo to uznano, że to nie jest usprawiedliwienie i że po prostu powinien być z uczelni usunięty. I został usunięty. To był taki okres, kiedy na moim Wydziale, nie wiem jak na innych, ale właśnie na Fizyce bardzo odczuwaliśmy to, że jesteśmy jednym środowiskiem. To znaczy studenci i pracownicy uczelni. Pracownicy naukowcy, wykładowcy, asystenci przychodzili, niektórzy do dużej sali doświadczalnej, grając na gitarach, na przykład, żeby ten pobyt tam w trakcie strajku jakoś był łatwiejszy do przetrzymania. I życzliwość ta była tak daleko posunięta, że jedna z pań, które wykładały u nas, pani docent Wolska, zapraszała studentów, których wyrzucono i którzy byli w sytuacji materialnie trudnej, zapraszała na obiady do siebie, do domu i niektórym zalecała korekty swoich tekstów, żeby po prostu pomóc im materialnie. Tak że takie sytuacje miały wówczas miejsce. Ponieważ ja byłam wówczas już na studiach wieczorowych, a jednocześnie pracowałam, to po prostu dla mnie ta sytuacja była o tyle łatwiejsza, że byłam pracownikiem i do mnie Służba Bezpieczeństwa jakoś nie wzywała. Nie odniosłam żadnych skutków represyjnych tamtego pobytu, tamtych wydarzeniach. Chociaż przedtem właśnie zbierałam podpisy pod petycją przeciw zdjęciu „Dziadów” i pod petycją przeciw zawieszeniu w prawach studenta wówczas Michnika i Szlajfera. I trzecia petycja była przeciw likwidacji Wydziału Filozofii. To były trzy, pod którymi zbieraliśmy podpisy. Rezultatu ich nie było, jak wiadomo, niestety. Tak to wyglądało. W roku 70-tym pracowałam w zakładach Nowotki. Wtedy była sytuacja taka, że była taka moda na deglomerację, czyli wyprowadzanie wielu zakładów pracy poza duże ośrodki miejskie. I właśnie przedsiębiorstwo budowy gazowni zostało przeniesione do Wołomina, co dla mnie oznaczało niemożliwość praktycznie kontynuacji studiów, bo jakbym jeździła tam do pracy, to byłoby to praktycznie niemożliwe. Byłaby kolizja czasowa i wówczas. zmieniałam pracę. Zostałam przyjęta do pracy w zakładach Nowotki. Pracowałam w gospodarce narzędziowej. W tamtym okresie, zresztą w roku 1971 praktycznie uzyskałam absolutorium, natomiast 1970 rok, bo jak wiadomo wydarzenia Grudniowe, które miały wielki wpływ na sytuację w całym kraju, a w zakładach Nowotki odbywał się strajk. Tzn. po „czarnym czwartku” zastrajkowały zakłady Świerczewskiego.

Z zakładów Nowodki wzięto ZOMO, żeby uspokoić ten strajk. To jest niedaleko, na Woli, także można było przewieźć tam grupę ORMO-wców z zakładów Nowodki do zakładów Świerczewskiego. Jeden z naszych dyrektorów, dyrektor techniczny, ja nazwiska nie pamiętam niestety, w świeżym ubiorze pracownika technicznego, w kombinie wyjaśniał, że my tutaj dzielnie pracujemy, kiedy tam inni sobie lekceważą poważny obowiązek pracy. No i to ludzi bardzo zdenerwowało i w sobotę rano rozpoczął się strajk. Najpierw na Mechanicznym, a później przeszedł na odlewnię i na narzędziownię. Narzędziownia to było około 2,5 tysiąca ludzi. Na mechanicznym pracowało około 3 tysięcy ludzi. Tak to pamiętam. Nie wiem, czy tak było dokładnie, ale wydaje mi się że tak. Więc to były duże grupy ludzi i po prostu ten strajk trwał krótko, bo w sumie tylko w tą sobotę i później po różnych tzw. „porozumieniach” mieliśmy odpracować te 4 godziny. W każdym razie to jednak by oznaczało brak zgody na to, co się działo w Polsce wtedy, na te drastyczne wydarzenia w Gdyni, przede wszystkim. Zakłady Nowodki produkowały frezy do wytwarzania śrub okrętowych, więc do nas przyjeżdżali, bo narzędziownia to była sprawa produkcji narzędzi specjalnych. Nie takich, które są normalnie w handlu, ale szczególnych, tak jak w tym wypadku właśnie frezy. Taki frez to był tej wielkości, gdzieś ponad metr średnicy. I przyjeżdżali wobec tego pracownicy Stoczni Gdańskiej w sprawach służbowych, a wiadomo było, że się nie da uniknąć rozmów, również o tym, co się tam działo, więc mieliśmy informacje właśnie o tym, jak te wydarzenia wyglądały. Nie wszystko byli w stanie powiedzieć, ale próbowali jakoś przekazać to, co się zdarzyło w Trójmieście. Te zdarzenia miały też istotny wpływ na mój stosunek do tego, co się działo później w roku 1980. W 1976 nie brałam udziału żadnego. Nie było też właściwie takiej łączności z osobami, które tam organizowały pomoc. Wiem, że moi koledzy ze studiów uczestniczyli w działalności KOR-u, ale wówczas nie utrzymywałam z nimi kontaktów i właściwie nic nie wiedziałam o tym, jak to wszystko działa. Okazało się, że jeden z naszych kolegów, pracowałam wówczas w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym pomocy naukowych i sprzętu szkolnego i okazało się, że jeden z naszych kolegów miał kłopoty, ponieważ przepisywał jakieś dokumenty KOR-u. I to zauważono. I Józek wtedy pracował u nas. Także te kontakty nie były takie bliskie. Natomiast w 1980 roku, praktycznie od początku, kiedy była możliwość po pierwsze uzyskiwania informacji o tym, co się działo w Gdańsku, po drugie jakiegoś wsparcia dla tych strajków, to już potem braliśmy udział w tym. Wielu kolegów, których znałem ze studiów, koledzy z pracy, bo po prostu trzeba było coś robić, nie można było być obojętnym. W czerwcu 1980 roku służbowo wyjechałam na Targi Poznańskie. Na Targach Poznańskich było takie spotkanie Polonii, która zajmowała się sferami gospodarczymi i chodziło o uzyskiwanie... Mieliśmy tam taką ekspozycję, niewielką wówczas, również pomocy naukowych. Ale były spotkania właśnie z Polonusami i one miały charakter taki, że poczułam się głęboko upokorzona tym, co się tam działo. Po prostu Polonia zorganizowała taki bankiet uroczysty. Nie pamiętam już, czy na otwarcie, czy na zakończenie tego forum polonijnego. I były ustawione na stołach jakieś rozmaite potrawy, a przedtem miały miejsce wystąpienia osób, które sprawowały jakieś ważne funkcje w ramach tej organizacji polonijnej. Pan Jean Zarzecki przemawiał. I w pewnym momencie, ponieważ przybyli goście właśnie Ci z Polski bardzo się tak interesowali raczej tymi daniami, a mniej wystąpieniem. I on powiedział, że „proszę państwa, proszę, proszę zaczekać, zamówiliśmy również wielu kelnerów, zaraz wszyscy rozniosą to jedzenie...”. I po prostu poczułam się jakby mi ktoś dał w twarz, bo widać było, że tymi, którzy się najbardziej dorywali do tych stołów to byli ci, których naprawdę było stać na to, żeby sobie nabyć żywność lepszą. Osoby na wysokich stanowiskach i po prostu było mi niestychanie wstyd, że się coś takiego zdarzyło. Poza tym były takie sytuacje, jakby to określić, po prostu czuło się, że jest duszno, że po prostu nie mamy czym oddychać. Coraz trudniej było, bo to, że były braki żywnościowe, że stało się w kolejkach, że praktycznie

każdy, to przede wszystkim dotyczyło kobiet, ale nie tylko. One wystawały koło 3 godzin dziennie. Trzeba było wystawać w kolejkach, żeby cokolwiek zdobyć do jedzenia. No i po prostu kiedy zaczęły się strajki, zaczęły się ukazywać informacje w prasie, co prawda reżimowej, ale jednak jakieś informacje się przedostawały. To jak dotąd kolejki były przede wszystkim w sklepach z żywnością, to wtedy zaczęły się kolejki pod kioskami Ruchu, po prasę, po gazety. Jak stało tak z 50 osób, żeby kupić gazetę jakkolwiek, to trzeba się nad tym zastanowić, Skąd taki głód informacji i dlaczego? Dlaczego dla ludzi jest tak ważne to, co się dzieje w Gdańsku, te negocjacje, te porozumienia. Była to rzeczywiście bardzo istotna sprawa. Wtedy pamiętam, że w „Remoncie”, tym klubie studenckim Politechniki Warszawskiej na szybach wywieszono komunikaty z Gdańska przywiezione. Przepisywane na przebite, przyklejone. I przed tymi komunikatami, przed całą tą ścianą stał tłum ludzi, który starał się coś przeczytać, starał się dotrzeć do informacji. I tak myślę, że ten wówczas głód informacji bardzo się dobrze kojarzy z aktualną sytuacją, kiedy praktycznie zlikwidowano telewizję publiczną, kiedy są próby odcięcia od informacji niezależnej, praktycznie całego społeczeństwa, to jest nie do akceptacji i na to nie można pozwolić. Po podpisaniu Porozumień trzeba się było zorganizować. Jak była już szansa tworzenia związków, to trzeba było to wykorzystać. Tu od początku uczestniczyłam w tych pracach w Warszawie. 4 września właściwie było zebranie w Ursusie. Ja na tym zebraniu nie byłam, ale od niego zaczęła się praktycznie taka aktywna już działalność związana z budowaniem związku. Wtedy na Hożej był lokal, w którym spotykali się związkowcy. Na Bednarskiej powstało Biuro Interwencji, prowadzone wówczas przez Lecha Matula z Ursusa. No i później w końcu przydzielono nam ten lokal na Hożej, gdzie tłumy ludzi właśnie po prasę związkową, po informacje i biuletyny stali ludzie na schodach. Przez te dwa piętra kolejka po odbiór informacji, po prasę. Ja wtedy byłem konsultantem związkowym. Tak to się określało. Były dwa rodzaje konsultantów. Byli ci konsultanci, którzy byli w lokalu związku, w lokalu regionu i udzielali informacji wszystkim przychodzącym, którzy potrzebowali coś tam załatwić, czegoś się dowiedzieć. I była druga grupa, która jeździła do zakładów pracy na zebrania, żeby pomóc się zorganizować, żeby pomóc przeprowadzić wybory. I ja byłam w tej drugiej grupie, w związku z czym normalnie po pracy, bo przecież pracowałam wtedy nadal w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym, po pracy jeździłam na spotkania do różnych zakładów, na przykład do zakładów mięsnych na Żeraniu, czy w innych miejscach, ale też i poza Warszawę, poza Grójec, gdzie nie pamiętam już dokładnie nazwy tego zakładu, ale po prostu to była jakaś rolnicza czy spółdzielnia, czy nie pamiętam dokładnie nazwy. W każdym razie tam były próby wyłączenia światła w czasie wyborów, różne metody takie utrudniania przeprowadzania wyborów. A dojechać też nie było łatwo, bo po prostu jakoś tam autobusami dawało się dotrzeć, nie zawsze można było znaleźć właściwe połączenie. Po stronie zachodniej Pałacu Kultury była na przykład spółdzielnia, dziewiarska spółdzielnia, w której pracowali żołnierze niewidomi, osoby po utracie wzroku w czasie wojny i później. I przeprowadzanie wyborów tam było bardzo trudne, bo osobom niewidomym jest szczególnie trudno. A jednocześnie było właśnie też wyłączenie światła, żeby ci niedowidzący, którzy jakoś sobie radzili, nie mogli pomóc tym niewidomym. Działy się takie bardzo przykre sytuacje, kiedy właśnie niewidomym pracownikom podkradano wełnę do produkcji i inne tego typu zdarzenia. Także tam dla związku było pracy dużo, ale jednocześnie była ona bardzo utrudniana przez władze tej firmy. Ja nie mogłam kandydować, bo byłam na stanowisku kierowniczym wówczas i dlatego takiej funkcji nie pełniłam. Ale za to właśnie mogłam jako społeczny współpracownik Regionu dalej pracować też po godzinach pracy w Zarządzie Regionu... Mazowsze. Później włączyłam się w pracę Biura Interwencji, które najpierw funkcjonowało w Alejach Jerozolimskich, chyba pod numerem 27 na drugim piętrze, a później to już był okres, kiedy tym biurem kierowała Zosia Romaszewska. A później na Mo-

kotowskiej, kiedy Region uzyskał siedzibę na Mokotowskiej. To wówczas te wszystkie grupy, które w innych miejscach były zlokalizowane, przeniosły się na Mokotowską. I tam byłam, i w Biurze Interwencji, które przeprowadzało interwencje w takich sprawach, gdzie naruszane były sprawy zarówno pracownicze, jak i gdzie były łamane prawa związkowe i pracownicze. I to w tych dwóch przypadkach, kiedy była konieczna interwencja z zewnątrz. Na przykład zakład pracy nie godził się na respektowanie Porozumień Gdańskich i próbował utrudniać działalność związkową, to wówczas interweniowaliśmy w takich sprawach, wychodziliśmy na rozmowy z przedstawicielami związku i dyrekcją zakładu. W szczególności taki przypadek był... Bo Komisja Interwencji również zajmowała się sprawami mediacyjnymi, czyli wtedy, kiedy konflikt się pojawiał w samej organizacji związkowej i chodziło o to, żeby jakoś wyprowadzić tę organizację z sytuacji konfliktowej. Wtedy szkolenia, na przykład jak sobie radzić z manipulacją czy innymi takimi problemami, prowadziła Basia Malak. I właśnie dzień takiego szkolenia to był 13 maja 1981 roku. I po tym szkoleniu jechałam na interwencję do szpitala na Goszczyńskiego. To znaczy nie tyle interwencję, co mediację, bo właśnie tam jakiś problem zaistniał. I w zasadzie problemem się nie zajmowaliśmy, tylko obserwowaliśmy w telewizji informacje o tym, co się dzieje po zamachu na Ojca Świętego. Dzięki temu, że było to w szpitalu, więc było wielu lekarzy, którzy po prostu wiedzieli, co oznaczają komunikaty z Rzymu i mogli nam to wyjaśnić, jakie są zagrożenia, jaka jest sytuacja. Także ten 13 maja też mi utkwił bardzo w pamięci. Bardzo często były próby utrudnienia, uniemożliwienia przeprowadzenia wyborów czy założenia związku ze strony dyrekcji zakładów. To było prawie zawsze. Po drugie specyfika zakładów. To było bardzo ciekawe, bo to było w każdym zakładzie inaczej. Tam, gdzie były rozrzucone grupy pracowników po jakimś terenie, czy tam, gdzie praca wymagała jakiegoś szczególnego rozkładu godzin, np. w stacji hodowli roślin w Płochocinie okazało się, że nie możemy zacząć zebrania o takiej porze, jaka była początkowo przewidywana, ponieważ pracownicy, którzy dokonują udoju krów jeszcze nie dotarli, bo po prostu taki jest tryb pracy. Więc były tego rodzaju specyficzne sytuacje. Tam, gdzie był zakład przemysłowy, to na ogół była praca zmianowa, więc to też powodowało utrudnienia w przeprowadzeniu zebrań wyborczych i trzeba było się z tymi wszystkimi specyficznymi sprawami liczyć. To był okres, kiedy problemy z żywnością stawały się coraz bardziej wyraźne. Kiedy zaczęły się marsze głodowe, był taki marsz w Łodzi, szczególnie taki wzburzający, bo po prostu był to marsz, w którym brały udział przede wszystkim kobiety lub kobiety z dziećmi, na wózkach za rękę, bo brakowało żywności. Zresztą to, co doprowadziło w 1980 roku do strajków w Lublinie, to też były te pociągi na Wschód z puszkami, rzekomo farby. A jak się przypadkiem puszka uszkodziła, to się okazywało, że w środku jest szynka. I to ludzi bardzo wzburzało, że takie rzeczy się dzieją w sytuacji, w której w kraju brakuje żywności. I między innymi w ramach tego takiego protestu zorganizowana została ta akcja „Rondo”, trzydniowa, chyba 2-5 sierpnia, w czasie której pojazdy MPO i innych zakładów pracy, MZK zablokowały rondo w Warszawie. Zablokowanie ronda nie było planowane. Po prostu miały te pojazdy protestacyjnie przejechać do ronda i potem skrócić w stronę Wisły. Władze przeraziły się tego, że mogą się zatrzymać pod Komitetem Centralnym i to spowodowało zablokowanie pojazdów na rondzie. Na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej. I ugrzęzły tam przez trzy dni praktycznie.